

Dariusz Pawlicki

# O nieistniejącym (jeszcze) społeczeństwie mecenasów

„Rzeczy tworzące naszą cywilizację (...) nie powstały dzięki nam samym (...), lecz dzięki trudom i cierpieniom nieprzerwanej wspólnoty ludzkiej, której jesteśmy ogniwem (...). Na nas ciąży odpowiedzialność za dziedzictwo wartości, które przypadło nam w udziale, za jego przechowywanie, przekazywanie, doskonalenie i rozszerzanie, tak, by ci, którzy przyjdą po nas, mogli je przejąć jako trwalsze i pewniejsze, jako bardziej dostępne i hojniej rozdzielone pomiędzy wszystkich”.

John Dewey, Common Faith

Tzvetan Todorov w *Ogrodzie niedoskonałym\**, między innymi, napisał: „Montaigne uważał, że ludziom trzeba pozwolić na kierowanie własnymi sprawami nie dlatego, że są dobrzy i inteligentni (bo nie są), lecz dlatego, że nikt tego za nich nie zrobi”.

Pominę, przynajmniej w tym tekście, przekonanie Michela Montaigne'a, że ludzie nie są dobrzy i inteligentni. Natomiast skupię się na jego zdecydowanej, niezabarwionej żadnymi wątpliwościami, pewności, że nikt, tylko każdy z nas indywidualnie, winien kierować własnymi sprawami. On, żyjący w latach 1533-1592, o tym wiedział. Ale dlaczego ogromna większość spośród ludzi wiodących życie na początku XXI wieku, w tzw. świecie zachodnim, nie ma nic przeciw temu, aby w tak szerokim zakresie kierowało nimi mrowie urzędników wszelkich szczebli? Uważa to przy tym za rzecz jak najbardziej normalną. Mało tego, wręcz nie wyobraża sobie, aby mogło być inaczej. Czy to przekonanie wynika z braku wiary we własne siły, przyzwyczajenia czy braku samodzielności, a może jest wynikiem lenistwa? Powody najpewniej są różne. Lecz nie można wykluczyć i tego, że w przypadku niektórych osób, w grę wchodzi wszystkie wymienione przyczyny.

To właśnie z tytułu owego kierowania (rządzenia) wspomnianymi urzędnicy są opłacani (niektórzy sownie). Lecz czy naprawdę należy oddawać tak wiele, jak to ma miejsce, osobistej suwerenności w ręce ludzi, których osobiście znają bardzo nieliczni, a pozostali, co najwyżej, z imienia i nazwiska? Moim zdaniem odpowiedź winna brzmieć: Nie!

Spod pióra rodaka Montaigne'a, ale żyjącego dwa i pół wieku później, Alexisa de Tocqueville'a (1805-1859) wyszło i takie oto zdanie: „Naszycy współczesnych ustawicznie zrzęcają dwie sprzeczne namiętności: potrzeba, by ktoś prowadził ich za rękę, i pragnienie zachowania wolności. Nie mogąc pozbyć się

żadnego z tych przeciwnych instynktów, starają się zaspokoić oba naraz”. Z dwóch sprzeczności wskazanych przez Tocqueville'a wybieram tę drugą, z pierwszej, ochocho rezygnuję.

Jest jednak tak, jak jest: jesteśmy we władzy ludzi specyficznej profesji. Owo powierzenie swego losu w ręce innych, dotyczy zresztą każdej dziedziny ludzkiej działalności. I rzecz jasna jest bardzo wiele przesłanek ku temu, aby w imię dobra wspólnego zrezygnować z części indywidualnej wolności (niezależności) – takiej potrzeby nie neguję. Zwracam jedynie uwagę na skalę zjawiska! Rzecz w tym, iż ta rezygnacja może być większa bądź mniejsza. Ale tak jakoś „dziwnie się” dzieje, że jest ona, niestety, większa, coraz większa! To znaczy – inaczej niż bym oczekiwał. Jak mogłaby wyglądać rzeczywistość kształtowana przez ludzi tworzących pewną wspólnotę, choćby narodową, ale polegających, przede wszystkim, na sobie, przedstawiają na przykładzie kultury, która jest mi szczególnie bliska. Właśnie na jej przykładzie, a nie, chociażby, polityki, gdyż, jak stwierdził Aleksander Sołżenicyn: „Życie polityczne nie jest wcale głównym przejawem życia człowieka, polityka nie jest bynajmniej upragnionym zajęciem dla większości ludzi. Im bardziej rozbuchane w kraju życie polityczne, tym więcej ponosi strat życie duchowe. Polityka nie powinna dławić duchowych sił i twórczego tchnienia narodu”\*\*. A ponieważ polityka jest przede wszystkim przejawem władzy państwowej w dziedzinie społecznej, gospodarczej, kulturalnej, wojskowej, jak też innych, więc zacytuję taką oto myśl Andrzeja Strumiłły: „Największym wrogiem państwa jest życie duchowe jego obywateli”\*\*\*. Nad owym życiem, jak nad żadną inną sferą działalności człowieka, państwu, jakiegokolwiek by ono nie było, najtrudniej jest bowiem rozłożyć kontrolę. Dla wielu państw, a konkretnie pewnych ich instytucji, istnienie owej trudności było i jest, niemal, zniewagą!

Wrogię kulturze, i to często wbrew zamierzeniom swoich inicjatorów, jak też na przekór nazwie, jest państwo kulturalne (określenie, zdawałoby się, jak najbardziej pozytywne). Takiego terminu (czy swego autorstwa?) używa Marc Fumaroli w książce *Państwo kulturalne; religia nowoczesności*\*\*\*\* na określenie sytuacji, gdy państwo, a konkretnie państwo francuskie, za pośrednictwem swych agend, od kilku ostatnich dzie-

sięcioleci wywiera potężny, wręcz dominujący wpływ na kulturę. Przyczyniając się do jej kształtowania na miarę potrzeb rządzących koterii, grup sprawujących władzę. A kultura „przykrawana”, kształtowana, to, jak twierdzi Fumaroli, „innymi słowy – propaganda”. Propaganda ta ma służyć grupom „trzymającym władzę”. To właśnie na jej rzecz działają urzędnicy reprezentujący najpotężniejszego mecenasa francuskiego, to znaczy, wspomniane, państwo. To oni decydują bowiem o tym, kto konkretnie, a także jakie przejawy owej kultury, wypłyną na, przysłowiowe, szerokie wody. Celowi temu służy, między innymi, organizowanie wielkich wydarzeń kulturalnych, na przykład wystaw obrazów o światowej renomie, mających sprawić, aby oglądający poczuli, że kultura, i to ta najwyższego lotu, wszelkimi porami przenika do ich wnętrza. Nawiasem mówiąc, czy można mówić o jakimkolwiek kontakcie z dziełami, gdy jest się pośród tłumów? A organizatorem właśnie na tych tłumach najbardziej zależy. Dlatego tak wiele, i to praktycznie za wszelką cenę, czynią, aby były one obecne.

Za sprawą kierowania (chciałoby się powiedzieć – ręcznego) kultura, przynajmniej ta ogólnie dostępna, traci swoją pierwotną wielopostaciowość, wielopoziomowość. To znaczy ubożeje za sprawą narzucania ludziom/obywatelom tak „uśrednionej” oferty kulturalnej, aby jak największa liczba odbiorców mogła znaleźć w niej Coś dla siebie. Tak więc to, co nie mieści się w tej „uśrednionej” kulturze, według państwa kulturalnego, a dokładniej mówiąc – jego funkcjonariuszy, nie zasługuje na uwagę (proszę zauważyć, jak wielką rolę w państwie kulturalnym odgrywa to, co można policzyć: liczba sprzedanych biletów, zwiedzających, wystaw; wysokość budżetu itd.).

\*\*\*

Kultura jest tą dziedziną ludzkiej działalności, którą, tak jak zresztą pozostałymi, w naszej części Świata, zawiaduje ministerstwo kierowane przez ministra. Nazwa tego resortu w różnych krajach jest różna, ale najczęściej występuje w niej słowo „kultura” (choć pełna nazwa może zawierać także inne) odmienione w drugim przypadku.

Ministerstwo kultury – ministerstwem kultury, ale w tej dziedzinie najwyżej mogłoby zależeć od obywateli. Mogłoby, ale jest